

się zaś do niewiadomości, byłoby to stracić dużo z powagi i z tej jakoby najwyższej naukowej instancyi za jaką zrazu dziecko uważa rodziców, więc na ten raz, udało się owej mamusi zgrabnie wywinąć: „Policz sam, to lepiej spamiętasz.“

Więc dzieciak zaczął liczyć i po chwili rzekł: „już!“ To już było fatalne dla muchy, bo malec rachował skrzydła obrywając je starannie po kolei, aż została mu w palcach biedna ofiara elementarnej nieświadomości owej pani, która, kto wie, czy nie miała jednak zasługi znania dokładnie tytułów powieści Balzaka lub Guy de Maupassanta. Może owa mucha bliżej poznana byłaby ważniejszym stokroć nabytkiem. Choć przyroda należy do tych rzeczy, które kochamy nawet nie znając bliżej, kochamy i uwielbiamy na sam ogólny jaskrawy jej widok, to przecież poznać ją musimy, aby wśród niej nie chodzić tylko jak ośnieni jej pięknoscią ciemni fanatycy, lecz jako wielbiciele z przekonania, jako świadomi znawcy, którzy znają wartość przedmiotu, wiedzą dlaczego piękny i dotarli do tajemnic jego cudownych objawów. Niestety, nauki przyrodnicze nawet w elementarnym zakresie tak są jeszcze mało rozpowszechnione, a ich uprawa tak zaniedbana, że trzebaby tutaj chyba radzić aby dorosłe osoby wzięły też niekiedy do ręki podręcznik choćby i nauczyły się z niego rozpoznać rośliny, owady, kamienie,—a z pomocą przystępnej jakiej książki sprostować chciały te liczne, a grube pomyłki z chemii i fizyki jakie w codziennym życiu, co krok się spotyka. Przyroda nas otacza, żywi, poi, uspokaja, zachwyca, całą falą prawdy uderza o nasz umysł, nigdy nie ludzi, ani nie zdradza, a my ją znamy za mało i dziwnie lekceważymy jej bezwzględne, a mądre prawa, które bliżej badane i poznawane nadawałyby naszemu umysłowi wiele trzeźwości, pewności i umiarkowania.

Czwarta grupa czytania stanowi właśnie to, co przeważnie pochłania cały czas na czytanie oddany—t. j. literatura, a mianowicie powieść, nowella, dziennik, pisma peryodyczne, które są niekiedy jedynym źródłem wieści jakie nas ze świata pracujących dusz ludzkich dochodzą.

Zdarza się jednak zbyt często, spotykać osoby „bardzo czytane“ w bieżącej beletrystyce a nie mające pojęcia, o całokształcie literatury, znające dużo bardzo utworów współczesnych, a nie wiedzące nic o kierunkach, ideach, charakterystyce naszej doby literackiej. Źródłem tego niedoboru jest właśnie owa tylko ciekawość z jaką się chwyta nowosć znanego autora i lenistwo w pracowitszym rozejrzeniu się na polu piśmiennictwa.

Cały potop lichych, tłamaczonych powieści służy dla zabicia czasu, a na półkach księgarskich leżą w pyle wydania historii literatury, któreby rozszerzyły widnokrąg czytelników i ułatwiłyby im zrozumienie rodzimych arcydzieł i dróg natchnienia wielkich mistrzów. Niedbały i nierozsądny wybór książek sprowadza tę czezę i banalną powierzchowność rzekomego czytania bez istotnego wykształcenia literackiego. I tu, jak we wszystkim, trzebaby iść do gruntu, zacząć od podstaw i dopiero przez szereg dzieł poważnych, dochodzić do kwiatu samego, do powieści, noweli, poezji.

Taki zakres czytania jaki tu rozwinęliśmy, nie jest bynajmniej ani trudnym w wykonaniu, ani nudnym i ciężkim, ani pochłaniającym czas dla książki poświęcony, lecz trzeba umieć z każdego działu wybrać sobie dzieło i iść porządnie naprzód, w pewnym systemie, urozmaicając jedno drugim kolejno. Nikt podobno nie czytał tak szalenie prędko jak Goethe, który obok ogromu pracy swej twórczej, zajęć urzędniaka i rozgałęzionych stosunków towarzyskich, znajdował sobie czas na przeczytanie codziennie jednej książki średnich rozmiarów. Dodajmy do tego, że zajmował się pilnie swym ogródkiem, z namietnością doktora Fausta badał fizykę, teorię barw, malował, grywał w amatorskich teatrach i jeszcze miał kiedy odbywać nocne wędrówki przy księżycu z miłości dla księżycy i przyrody, i ślizgać się w czarnym aksaminowym płaszczu, rozrzucając dokoła siebie śnieżne kule ku znajomym Lili lub Mignon. Czy my

mamy mniej czasu od Goethego? Może być, że czasem miewamy i mniej, mianowicie kobiety, gospodynie dużych domów, matki licznych rodzin; ale jednak zawsze trzeba dla czytania zdobyć sobie godzinę przynajmniej dziennie, a z tej godziny urośnie ogromny pożytek z biegiem czasu. Ta godzina zaś czytania stanie się już nietylko zaspokojeniem literackiej ciekawości, nietylko umysłowym nabytkiem, ale prawdziwą „godziną myśli“ w której duch się pogłębia, czerpie nowe siły, otuchę i moc do dalszej wyrobniczej pracy w hałaśliwej i nużącej fabryce codziennego żywota.

Jeśli to wszystko jest obowiązkiem każdego myślącego człowieka, dbającego o rozwój swój moralny i umysłowy, to o ileż jeszcze ściślejszym, konieczniejszym jest obowiązkiem tych, którym danem jest być—rodzicami.

Rodzicom bezwarunkowo nie wolno jest zaniedbywać własnego umysłu i wiedzy, i powinnością ich świętą coraz szerszy, mianowicie coraz dokładniejszy czynić sobie w duszy widnokrąg, w miarę tego, jakim szlakiem ma pójść wykształcenie dzieci. Na takich niedoborach w wykształceniu rodziców traci ogromnie zasada powagi, a za nią zasada uległości, a dalej umiejętne kierowanie i kontrolowanie nauki dzieci, a nakoniec ta wspólna z nimi praca, która jest wielkim pożytkiem dla młodzieży, a ogromną pociechą dla rodziców.

Do owych czterech grup czytania przybývá dla rodziców jeszcze inna—pedagogiczna, którą, mianowicie matki powinny bezwarunkowo wziąć na uwagę, i z całą sumienną starannością badać i przyswajać sobie rozumne poglądy i doświadczenia zawarte w dziełach o wychowaniu. Dzieł takich mamy dużo i naszych i obcych. To czytanie pedagogiczne rodziców podzielić by znów można na dwie części, jedną psychologiczną, drugą szkolną. Poznać duszę dziecka, i to dziecka własnego, to nie mała rzecz; miłość dużo pomoże, bo daje przecucia i natchnienia dobre, ale nie wystarczy, bo miłość często jest ślepa i nie widzi wszystkiego, a do tego niejednokrotnie wpada w przesadę i egzaltację.

Tu trzeba bardzo zrównoważonej mądrości i wiedzy. I jedno i drugie nabyć można, przez pracę w tym kierunku. Takie dzieła o wychowaniu jak A. Bain'a, M. Hippeau'a, Perez'a: „Trzy lata pierwsze dziecka“, H. Spencera, Hofmanowej, Kowerskiej, A. Dzieduszyckiej, śliczną książką „Rys dziejów wychowania“ Wł. D-r Sereyńskiego, Lusławy, „O powinnościach matek“, pani Daudet „Matki i dzieci“ i tyle, tyle innych, są kopalnią, z której można czerpać, z którą stopniowo zaznajamiać się trzeba i umiejętnie zdobyte w niej zasoby stosować.

Nie znaczy to bynajmniej, aby dzieci wychowywać „z książki“, bo tego żadna książka nie nauczy, tylko—sumienie rodziców, ale trzeba koniecznie korzystać z doświadczeń pokoleń i tych którzy w życiu bystrzej patrzeć umieli, aby się nauczyć tego, czego w sercu czy w sumieniu być nie może, jeno w książce. Dzieje wychowania, logika, psychologia, historia szkolnictwa, metody wychowania i nauki, higiena dziecka, fizjologia, studia o dziedziczności, oto są dzieła, które bezwarunkowo rodzice czytać powinni, jeśli chcą znać dobrze własne dziecko, jeśli je chcą dobrze i zdrowo wychować, jeśli mu dobrze życzą i pragną je wykształcić na człowieka. Takie czytanie podniesie umysł rodziców, da im dużo spokoju w postępowaniu z dziećmi, bo wzmocni i rozjaśni ich wzrok na wiele jego objawów i uszlachetniając ich samych, prostować będzie i doskonalić drogę jaką pragniemy, aby dziecię szło w przyszłość swoją.

Drugim działem czytania rodziców powinny być bezwarunkowo: książki szkolne. Najpierw dlatego żeby samemu ocenić jakie też one są, dalej żeby znać to, nad czem nasze dziecko się męczy, żeby mu pomódz, wyjaśnić, uprościć, dodać to, czego tam niema, dalej dla kontroli w oczach dziecka, następnie dlatego, żeby dzieci widziały zawsze, że ich świeżo upieczona mądrość w szkole, jest dla rodziców rzeczą dawno i dobrze znaną i że się nią ani chępli nie można, ani się nią wynosić nie wolno. Każda zresztą książka, która się

do rąk dziecka i młodzieży dostaje, czy jako podręcznik, czy jako nagroda, czy jako pożyczona do czytania, powinna być przedtem znaną rodzicom dokładnie i ściśle ocenioną pod względem bezpieczeństwa wszechstronnego, moralnego, naukowego i językowego, inaczej, na liczne szkody młody czytelnik narażonym być może. Czytanie rodziców nie ogranicza się tylko tem, co czytać—powinni, ale jest jeszcze jeden ważny warunek, który też na uwagę zasługuje: czego rodzice niepowinni czytać? Najpierw dlatego, że szkoda czasu na liche i zdrożne książki, a potem, że taka książka bardzo łatwo może dziecku wpaść w ręce i zarazki złego zaszczerpieć w jednej godzinie tak głęboko i niebezpiecznie, że potem miesiąc, nawet lata pracy nad dzieckiem nie zdołają złego ziela wyplenić.

Lichych, a tembardziej szkodliwych książek niepowinno wcale być w domu tam, gdzie są dzieci, tak jak przy dzieciach nie stawiamy tu i owdzie trucizny lękając się o jego życie. Jego życie wewnętrzne przecie niemniej warto, chronimy je więc od trucizny jaka niestety znajduje się w bardzo może dla nas „ciekawych“ utworach i pismach, ale dla dziecka jest zabójcza. Na stole u matki, która ma córki, choćby małe jeszcze, nie powinny nigdy leżeć utwory, mianowicie powieści, wartości wąpliwej, albo wogóle takie, któreby jakakolwiek duszy dziecka szkodę przynieść mogły; u ojca nie powinny być tak na oczach dzieła, nawet naukowe, których specjalności wprowadziłyby duszę chłopca w niepokój lub natężenie za silne; a tu i owdzie, jak to zwykle leżą po domach dzienniki, gazety, pisma, niepowinny leżeć dzienniki, gazety i pisma, bo nie łatwiejszego jak dziecku, panience lub wyrostkowi dorwać się do gazet i przeczytać w nich to, co im płamą na duszę padnie, zwarzy niewinny kwiat ducha, a w zamian zasieje ciekawość, skrytość, nieufność i przebiegłość w szukaniu sposobności na drugi raz. Dzieci i młodzież do jakich lat szesnastu nie powinny bezwarunkowo nigdy sami czytać dzienników; można im wskazać coś do przeczytania głośno lub samym im odczytać, ale zostawić dziecko z gazetą w rękę wydaje mi się wprost niesumiennem. Zadajmy sobie ten trud, który przecie nawet do porządku domowego należy, żeby dzienniki leżały zawsze na jednym miejscu, tylko np. jedynie w pokoju i na biurku ojca, gdzie niczego ruszyć nie wolno i gdzie też dzieci same nie bywają, a tym sposobem uchronimy dziewczynkę od drastycznych „wypadków miejscowych“ i od nerwowo—zmysłowej nowelli w fejtynie, a chłopca od listy samobójstw i od podziwianej zręczności lub zuchwalstwa wielkoświatowych awanturników politycznych kuglarzy i szantażystów.

Dodać tu jeszcze trzeba, że wszelkie pisma humorystyczne są wprost zgubne dla młodego wieku, bo ośmieszają w dziecku oczach wszelką powagę, podkopują wszelką wielkość i nawet świętość, uczą drwinkowania, dwuznacznych konceptów i niepowsściągliwej mowy. Jakżebyśmy śmieli dziecku, które żyć powinno prawdą i pięknem, kłaść przed oczy: karykaturę w rysunku lub w słowie! Jest to rzecz ogromnej wagi, a przecie lekko traktowana ogółem biorąc; przeczytane pismo rzuca się tu i tam, dzieci to chwytają, owijają sobie okładki książek i kajetów, wysięcają szufladę i—przy sposobności—czytają.

Czytajmy dzieła poważne, piękne, zajmujące, zabawne, ale strzeżmy się złych książek i pism, bo to są wrogi domowe, kradnące nam czas, spokój ducha, prostotę serca, niewinność naszych dzieci i są owocem wiadomości wszelkiego złego mogącego nas, jeślibyśmy go więcej spożyli, nawet z raju domowego szczęścia wypędzić. Stawiam tu jedno pytanie na które, zdaje mi się, odpowiedź nie trudna: dlaczego teraz tak się niewiele czytuje wieczorami po domach—głośno? A, bo tego, tamtego, owego, nie można głośno czytać przy dzieciach, albo nie można głośno czytać wcale.

Więc każdy sobie sam po cichu psuje duszę i to się nazywa potem czytanie!—Ach nie, czytanie to całkiem co innego! Czytać—to chłonać w siebie światło, umysł rozszerzać, serce

podnosić, pamięć wzbogacać, wyobraźnię rozpa-
lać, wolę pobudzać, charakter umacniać—prawdę
poznawać, piękno uwielbiać, natchnienie czer-
pać—to jest czytać!

Nauczymy się dobrze czytać dobre książki, to
nauczymy się czytać w duszy własnej, w sumie-
niu ludzkim, społecznym, rodzicielskim; nau-
czymy się czytać runy przeszłości, abyśmy le-
piej rozumieli samych siebie rozumieć, nie
rogłif współczesny, aby nas nie zwiódł i nie
zdradził i tajemniczy znak zapytania dni przy-
szłych, aby nas nie zanadto niepokoił swą
nieczytelną ciemnością. Czytajmy zawsze każ-
dą książkę nie tylko dla książki samej, ale
dla tej cząstki nieśmiertelnego życia jaka się
w niej zawiera, dla tej iskry czystego, pewnego świa-
tła, którą w sobie mieści, aby po każdym
czytaniu, dla nas i dla tych, których wychowu-
jemy, było na drodze życia coraz prawdziwiej,
coraz prościej i coraz jaśniej.

Szczęсна.

Cieniom Kornela Ujejskiego.

Tytanie słowa! Twórco Maraton!
Śmierć Twa nas wszystkich dotknęła bole-
Boś ty ostatni odszedł z tego grona, [śnie,
Którego wzniosłe, idealne pieśni,
Niby przygrywka do życia natchniona,
Dźwięcząc nam będą na jawie i we śnie...

Wciąż „tyle dzwonów!”—wołać będziem w duszy,
Z żądzą miłości świętą i rozumną,
Gdy nas żal bratni do głębi poruszy,
I skroń ku ziemi pochyli nam dumną,
Gdy wśród łez, jęków, sieroctwa katuszy,
W cmentarza progi wkroczymy za trumną...

Gdy, w nędzę bratnią wpatrzone źrenice,
Zroszą się łzami, i litość nas zmoże,
Gdy ujrzym próżną na stole donicę,
Zgłodniałą dziatwę i czeladź w komorze—
Widząc wysiłki, idące na nice,
Westchniem: „kropelki, chodź dżdżu!” daj im [Boże!...

Zarówno w bólu, jak w ducha zachwycie,
Słów Twych melodya pierś naszą skolysze—
Utoniem myślą, jak gwiazdy w błękitcie,
Czuli na barwy i blaski, jak klisze,
Duch wniebowzięty śnić będzie w nas skrycie
Jak: „na obłoku, roztopiony w ciszę...”

Gdy ujrzym strzałę niebieskiego posła,
Przed którą serca nie zasłoni zbroja—
Duch niby harfa rozebrzmi podniosła:
„Tobie ja śpiewam, gołębico moja,
Coś mi oliwną gałązkę przyniosła,
Już srebrnym światłem znęca mnie ostoja...”

I wszędzie—zawsze, czy wybuchniem płaczem,
We łzach, strapieniu,—czy w cichem weselu—
Ty najwierniejszym zostaniesz tłumaczem
Przeróżnych myśli, uczuć naszych wielu,
Gwiazdą lśnić będziesz nam w życiu tułaczem,
„Wtóry Jeremi,” Ujejski Kornelul...

Wiktor Dzierżanowski.

Twórczość dramatyczna Juliusza Słowackiego

przez

Piotra Chmielowskiego.

(Dokończenie).

V.

Pozostaje mi jeszcze w końcu powiedzieć słów
kilka o dramatach, napisanych w okresie mi-
stycyzmu, rozbijałego pod wpływem doktryny
Towiańskiego.

Wiadomo, że w tej dobie Słowacki uległ bar-
dzo wielkiej przemianie pod względem pojęć
i metody tworzenia.

Miał on i dawniej skłonność do wprowadzania
na scenę duchów, świata nadzmysłowego; robił
to jednak epizodycznie i był świadom tego, że
mówi o twórcach fantazyi. W okresie mistycz-
nym nabrał przekonania, że właściwie tylko ten
świat duchów jest istotnym, rzeczywistym a te
zjawiska, jakie zmysłami poznajemy, są uludą.
Całą więc wagę pojęć i poglądów, przeniósł
ze sfery zmysłów i rozumu do dziedziny du-
chów, otaczających wciąż i wszędzie jednostki
i narody. Walka pomiędzy duchami jasności
a duchami ciemności staje się dla niego zasa-
dniczym objawem życia cywilizacyjnego naro-
dów i główną sprężyną działań indywidualnych.
Nie moc i potęga fizyczna ma znaczenie praw-
dziwe, lecz moc i potęga duchowa. Ażeby tę
moc duchową osiągnąć, trzeba mieć czyste ser-
ce, pokorę i wiarę—można wówczas jednym słow-
em całe pułki nieprzyjacielskie znieść i zdruz-
gotać, można wówczas wynieść się po nad tro-
ski i cierpienia życia codziennego i zajaśnieć
aureolą świętych.

Rozpowszechnieniu tych myśli poświęcił Słow-
acki dwa swoje mistyczne czyli mesyjaniczne
dramata, wydane przez siebie samego p. t.
„Książka Marek,” „Sen Srebrny Salomei.”

Karmelita, kaznodzieja uwielbiany przez kon-
federatów jest tu przedstawicielem idei bosko-
ści, pokonywającej wszelkie zło potęgą we-
wnętrzną, duchową. Jestto nieustraszony ża-
dną groźbą, ni żadnym niebezpieczeństwem słu-
ga boży, który postanowił wytrwać w obronie
ołtarza i tych biedaków opuszczonych, co się
w koło niego skupili. Gdy możni tego świata
(Kraśniński, Regimentarz i przełożony karme-
litów) pomimo upomnień księdza Marka, porzu-
cają podolską mieścinę, by szukać gdzieindziej
schronienia i środków materialnych, on zostaje,
z poświęceniem swoim, godnością, gromem sło-
wa i gromem z niebios przywołanym podtrzy-
muje ducha w załknionych, pobudza do skru-
chy i pokuty grzeszników, pozyskuje część ze
strony nieprzyjaciół i zachowuje Bar dla Kazi-
mierz Puławskiego. Jest on wizjonerem i cu-
dotwórcą, ale jest zarazem chrześcijaninem,
który słowa przebaczenia i miłości zastosowuje
w praktyce, szturmując niemi do usz zatwar-
działych w zbrodni lub żądnym zemsty. Jeżeli
kogo karze (jak Kosakowskiego) to jedynie dla
jego poprawy; a ma uczucie ojca wyrozumiałego
na wybuchy duszy zbolalej i zbłąkanej syna czy
córkę (względem Judyty, choć ona nieprzyja-
ciół tajemnym przejściem do miasta wpuściła).

Wszystko, co się dzieje w „Księdzu Marku,”
technie nadzwyczajnością i cudownością, nie ma-
jąca nic wspólnego ze zwykłym trybem wypad-
ków życia ludzkiego; wszystko dąży do wpoje-
nia w czytelnika przekonania, że gdy się serce
czyste, pokorę i wiarę mieć będzie, to żadne
męki straszne się nie wydadzą, a żadne klęski
i przesładowania skutku gnębiącego nie osiągną.
Ci, co się wydawali ostatnimi lotrami, pozba-
wionymi wszelkich uczuć szlachetnych, stają
się, pod wpływem słowa bożego i natchnień du-
cha, sługami braci swoich, poświęcającymi i swo-
je przesady rodowe i przyzwyczajenie do roz-
kazywania i dumę i złe nałogi. Idea miłości
i potęga wiary odnoszą tryumf stanowczy,

choćby cielesnie ludzie te idee reprezentujący
ginęli.

„Sen srebrny Salomei” zawiera myśli podobne
tylko wśród innych warunków zewnętrznych
rozwinęte. Grzech pychy i nieposłuszeństwa
natchnieniu bożemu, spływającemu we śnie,
w wizyi, musi być odpokutowany szeregiem
cierpień krwawych i dotkliwych. Gruszczyń-
ski, choć zkadnąd uczciwy człowiek, nie po-
szedł za natchnieniem ducha; nakazującym mu
udanie się do konfederacyi barskiej—i oto córka
jego ukochana uwiedziona została przez syna
przyjaciela, któremu ją powierzył w opiekę,—
co więcej, żona jego i dziatki w mękach stra-
snych, zadawanych przez hajdamaków, życie
utracili.

Regimentarz zgrzeszył pychą rodową i nie-
uwzględnieniem prawa miłości; chciał syna swe-
go połączyć z księżniczką, choć ten syn kochał
Salusię Gruszczyńską; więc też odcierpieć to
musiał na synu swoim, który rozbity przez haj-
damaków, popadł w obłąkanie przerażające. Do-
piero, gdy po wycierpieniu katuszy, ugiął się
przed Panem, zrozumiał znaczenie pokory,
odrzucił przesąd rodowy, uznał prawo miłości,
został obdarowany szczęściem i syn jego Leon
powrócił do przytomności, Salusia, którą poczy-
tywano za zmarłą, zjawia się żywą i może sta-
nąć do ślubu z ukochanym. Księżniczka nato-
miast, co potajemnie zaślubiła kozaka Sawę, lecz
żoną jego nie była ani na chwilę, zgadza się
na to, gdy Sawa położył zasługi wielkie w spr-
awie poskromienia hajdamaków. Ażeby zaś
wobec istniejących jeszcze w społeczeństwie
przesądów małżeństwo to nie raziło, daje księ-
niczka Sawie dokumenty, zostawione jej przez
Wernyhore, a świadczące o szlacheckim męża
pochodzeniu. Ostateczne więc zbratanie stan-
ków na gruncie zasług dla kraju i cierpień
wspólnych, wyłania się jako zasadnicza idea
„Snu srebrnego.”

Wykonanie artystyczne tych dwu mesyjanicz-
nych dramatów różni się najzupełniej od techni-
ki dawniejszej Słowackiego. Najprzód co do
strony czysto zewnętrznej, bo poeta nasz, który
w tym czasie przetłumaczył dramat Kalderona
„Książka niezłomny” przejął od niego wiersz
krótki 8-zgłoskowy, posługując się nim prze-
ważnie i tylko w niektórych miejscach używa-
jąc dłuższego.

Powtórę, także za przykładem dramatyka hi-
szpańskiego, nie zwracał uwagi na zwięzłość
wysłowienia, owszem wpadł nawet w większą
od tamtego rozwlekłość, wkładając w usta oso-
by rozmawiającej ogromne ustępy, przepelnione
obrazami obficie nagromadzonemi. Zdawało się
wtedy Słowackiemu, że niewolno mu uronić
nic z tego, co w chwili natchnienia przychodziło
mu pod pióro; gdyż natchnienie owo pojmował
wtedy dosłownie jako rzeczywisty szepot du-
chów go otaczających. Rozumując bardzo dob-
rze, iż wykraczał przeciwko scenicznosci, nie
nazwał tych utworów Słowacki dramatami, lecz
„Książka Marka” — poematem dramatycznym,
a „Sen srebrny” — romansiem dramatycznym.

Co do rodzaju obrazów, jakimi się w tych
dziełach poeta posługiwał, są one przeważnie
krwawe. Fantazyę Słowackiego zapelniały wów-
czas wizjami płomiennymi, obrazy przerażające,
straszne; dość tu przypomnieć owo „widmo po pas
obnażone” wychodzące z katowskiej chaty, a za
niem oprawcy „niby dwa słońca czerwone, niby
dwa czerwone duchy, zgięci jak żebry na ku-
lach i biją się po koszulach”—albo owego Paf-
nuczego z wyciętym na ciele ognistym pasem
i Franciszka, albo Leona błakającego się po
cmentarzu z czaszką ludzką w ręku, i rzucają-
cego się i duszącego Semenkę, albo Gruszczyń-
skiego trzymanego pod pachy na dzidach i ostatni
raz komenderującego. Nigdy przedtem Słow-
acki nie nakreślił tylu strasznych, okropnych,
krwawych obrazów, ile w tych dwu mistycz-
nych dramatach. Nie zawsze obrazy te mają
zaletę plastyki; częściej, zgodnie z naturą ta-
lentu poety są raczej rozwiewne, w powodzi
słów się rozplywające; czasami jednak uderzają
tak siłą wyrazistości, jak żaden obraz dramatów
dawniejszych.

To jednolite, ponure wrażenie, jakie się odnosi z przeczytania „Księdza Marka“ i „Snu srebrnego“, nie neutralizuje się pogodniejszymi miejscami, które mianowicie w „Śnie“ napotykamy. Te bowiem jaśniejsze przebliski trwają krótko i nawet wywołują niemiły rozdźwięk, zwłaszcza gdy Księżniczka błyska złośliwym dowcipem. To też te szczegóły żartobliwe lub tęskne (Salusia) rychło zacierają się w pamięci; a dramata mesyaniczne pozostają w niej jako żagwie płonące, jako miecze lub siekiery płatające ludzi, jako technienie pożaru, zapierające oddech.

Czy jako całość artystyczna są one dobre i czy są wyższe od dawniejszych, wedle mniemania samego poety? Idea zasadnicza nadaje im wielką spójność, to przyznać należy, większą, aniżeli ją znajdujemy w przeważnej części dramatów dawnych; ale w wykonaniu, w technice spójność ta nie widnieje; Słowacki, jak poprzednio, tak i tutaj lubił działać na widza scenami luźnymi, w sobie zaokrąglonymi, ale nie tworzącymi stopniowanego przejścia do następnych. Wyższymi nazywał je Słowacki ze względu na ideę, jaką wyrażały, poczytując tę ideę za zdrowszą, doskonalszą niż wszystkie pomysły w dawniejszych pracach rozwinięte. My musimy porobić zastrzeżenia co do wartości tej idei, a choćbyśmy ją nawet za całkowicie słuszną poczytali, jeszczeby to nas nie upoważniło do nazwania dramatów mesyanicznych wyższymi od dawnych, jeżeli ich wykonanie artystyczne wyższem się nam nie wydaje. A pod tym ostatnim względem nie może być chyba dwu zdań; pomimo braku dawnych dramatów, myśl, uczucie i robota artystyczna są w nich świeższe, posiadają większą różnorodność, większy stopień zrozumiałości dla wszystkich, (a nie dla inicjowanych tylko) dramatyczności. Nie lekceważymy dramatów mesyanicznych, ale ich za wyższy stopień rozwoju w talencie Słowackiego uznać nie możemy.

W NOC MIESIĘCZNĄ.

W

noc miesięczną nad jeziorem
Mgieł unoszą się tumany.

Cisza w koło, tylko w gąszczu
Słowik śpiewa rozkochany,

Cisza w koło, tylko wietrzyk
Muska grzbiety fal figlarnie,

To, płasząc po nad wodą
Srebrne mgły w objęcia garnie,—

To zniecka na brzeg skoczy
Lub o brzóz gałęzie trąca,
Które, stojąc rzeszą zwartą,
W blaskach kąpią się miesiąca.

Cisza w koło... Na brzeg fali
Idzie zwolna chłopiec młody
I spojrzenie, pełne smutku,
Rzuca w ciemne nurty wody.

A w jeziora głębi,—dziwy! —
Patrzy okiem przerażonym,
Widzi zamek lazurowy,
Wyzłocony gwiazd milionem.

W księżycowem oświetleniu
Lazur srebrne bierze tony,—
Stoi zamek czarodziejski,
Gwiazd milionem wyzłocony.

Wewnątrz zamku wielka sala,
Od szmaragdów, pereł lśniąca,
Do jej okien przez wód głębie
Blask przedziera się miesiąca.

W księżycowem oświetleniu
W bieli nimf dwanaście tańczy,
Których skronie zdobią mirty,
Lub kwiat złotej pomarańczy.

Z ramion każdej aż pod stopy.
Spływa miękkich włosów fala,—
A w ich oczach, choć płasają,
Cień tęsknoty widzisz zdala.

Zataczają dziwne kręgi
Przy fal srebrnych cichym szmerze,
Wewnątrz kręgów—kwiatów stopy
I—zakłęci śpią rycerze...

A wtem naprzód się wysuwa
Najcudniejsza wśród nimf dziewa
I do chłopca przy fal plusku
Melodyjnym głosem śpiewa:

„Do nas, do nas, chłopcze młody,
Dosyć smutków i zgryzoty —
Pójdź w objęcia me namiętne,
Pójdź całować złote sploty...

Znajdziesz, znajdziesz zapomnienie
W pocałunków moich szale,
I ustami gorącymi
Ścigać będziesz ust korale.

Potem krąg zatoczysz z nami,
Przy fal srebrnych cichym szmerze,
I na wonnych spocznieś kwiatach,
Gdzie zakłęci śpią rycerze.

A gdy zaśniesz, zesłę tobie
Sny czarowne, sny tęczowe,
I podsunę najcudniejsze
Z wonnych kwiatów pod twą głowę.

Wreszcie chórem zaśpiewamy,
Niby dziecku u kołyski,
Piosnkę, którą ci nuciła
Do snu matka w chatce niskiej...

Ach, bo wierzaj, płaszy z nami,
Potem—taki spokój boski,
Lepsze stokroć, niż na ziemi
Wasze życie, pełne troski!

Więc przez fale lazurowe
Do nas, do nas, chłopcze młody!
Czeka ciebie zamek cudny,
Cudny zamek na dnie wody.

Czeka ciebie nimf chorowód,
Śpiewających kołysanki...
Tu wierniejsze znajdziesz serca,
Niż u ziemskiej twej kochanki...“

W noc miesięczną nad jeziorem
Mgieł unoszą się tumany.
Cisza w koło, tylko w gąszczu
Słowik śpiewa rozkochany.

Cisza w koło, tylko wietrzyk
Muska grzbiety fal figlarnie,
To, płasząc po nad wodą
Srebrne mgły w objęcia garnie,—

To zniecka na brzeg skoczy
Lub o brzóz gałęzie trąca.
Które, stojąc rzeszą zwartą,
W blaskach kąpią się miesiąca...

Selim.

KAZIMIERZ GLIŃSKI

WRÓCI!

POWIEŚĆ.

—*—

(Dalszy ciąg).

W salonie, siedział już Kamencki i rozmawiał z panią Rzutkiewiczową i Pawłem.

Marynia przedstawiła Jadwigę matce Pawła i po chwili ogólna zawiązała się rozmowa.

— Państwo zdaje się niedawno przybyli do Szarogrodu?

— Tak, panie, — odpowiedziała Rzutkiewiczowi Jadwiga.

— Brata pani poznałem —

— Czy macie już tu jakie znajomości? — wtrąciła Marynia.

— Żadnych jeszcze, — odpowiedziała Jadwiga, — był tylko u nas dawny nasz sąsiad pan Ignacy Laminowski.

W sieni szmer się zrobił i tubalny głos mężki słyszeć się dał:

— Tak, mściziko, dom państwa tak szanuję, że codziennie gotowym na śniadanie przychodzić.

— O wowku promowka a wowk w obori, — zaśmiał się Kamencki i wstał na powitanie gościa.

— Trąby powietrzne! — zawołał Laminowski, ujrawszy Jadwigę... — Na ucziwość powiadam, że miałem przecucie, zachodząc tutaj.

Głośnym okrzykiem powitała i Kamencka dawną koleżankę swej córki.

— Bawicie się, gawędzicie a mnie już sił nie staje, powiadam państwu. Właśnie powracam z komitetu moralności ogólnej, gdzie oddawaliśmy pod obrady punkt jeden, niezmiernej wagi

(o którym oczywiście zamilczeć muszę —) — tycający się pewnej osoby, mężczyzny (o którym oczywiście zamilczeć także muszę), który pod pseudonymem Kastora, w świstku warszawskim, zatytułowanym „Brzezina“ w korespondencyach swoich z Szarogrodu oczernia trochę jego mieszkańców.

— Mamo! — zawołała nagle, jakby złęczona Marynia.

— Cicho bądź, — odrzekła matka i mówiła dalej: — Ja postawiłam wniosek wystosowania wspólnej odezwy do redakcyi, zdemaskowania pana korespondenta, odkrycia jego prawdziwego nazwiska — i od tych wszystkich, którzy prenumerują „Brzezina“ wziąć uroczyście słowo, by zaniechali nadal prenumerowania tego tygodnika. Pan, panie Pawle, — zwróciła się do Rzutkiewicza — dasz pierwszy przykład i zaniechasz wypisywania oszczerczej gazetki, której nie czytałam wprawdzie, lecz parę razy w rękach pańskich widziałam.

Prawda, że pan się z „Brzezina“ rozstanie?

— Nie mogę, pani — odpowiedział Paweł.

— Dla czego — nie mogę?

— Bo jestem stałym współpracownikiem „Brzeziny“, korespondentem z Szarogrodu, podpisującym się pseudonymem — Kastora —

Zapanowała cisza nagle, jakby u progu grom trzasnął... Marynia zbladła lekko, pani Kamencka stropiona wpatrywała się w uśmiechniętą ironicznie twarz Pawła a pan Hipolit mruknął pod nosem:

— Popsuła cały interes, jeżeli w altanie był jaki —

— Ależ panie! — zawołała Kamencka, przychodząc po chwili do siebie.

— Korespondencye pana Pawła są przesłizzone i nad wyraz prawdziwe — — zawołała Marynia.

— No tak — to prawda! — rzucił Laminowski, — tylko za ostre, za ostre!... i za długo tam pan o pieczeniarkach rozpisujesz się —

— Nie wymienię z nazwiska nikogo —

— No tak— ale, mściście, mogą się domyśleć—a to jest zawsze nieprzyjemne.
 Panna Helena zbliżyła się do Pawła.
 — Cenię w panu odwagę, — rzekła wyciągając rękę — i szanuję ciebie, kollego!...
 Paweł skłonił się, a uśmiech pod wąsem ukrył.
 Marynia z wyrzutem patrzyła na matkę a oczy pełne tklivości zwróciła na osądzoną.
 — Poczekaj pan — rzecz nie jest stracona, — odezwała się Kamencka wstając. — Artykułów pańskich nie czytałam, poszłam tylko za głosem ogółu. Postawiłam wnioski—to prawda! ale jeżeli mnie oszukano, zrywam z komitetem moralności i wypowiadam mu walkę—śmiertelną!...
 — Bismark baba!—szepnął w duchu Laminowski.
 — Proszę pana o wszystkie roczniki „Brzeziny.”
 — Ale ja się nie bronię, szanowna pani, i wyrok sądu przyjmuję z całym poddaniem się— — rzekł Paweł.
 — Boże! co ja nawarzyłam!—jęknęła w sobie pani Kamencka, domyślając się czegoś z błagalnych spojrzeń Maryni.
 — Protestuję tylko przeciwko oszczerstwu... — ciągnął Paweł.
 — A widzi pan!—zawołała pani Oktawia.
 — I dlatego tylko żądane roczniki przyniosę pani,—dokończył Rzutkiewicz.
 Pokojówka weszła, znak dając, że śniadanie na stole. Goście z miejsc się ruszyli a pani Kamencka pociągnęła lekko Marynię za siebie.
 — Oświadczył się, może?—spytała.
 — Prawie—prawie—prawie— —
 — Co powiedział?
 — Nic jeszcze—bo przeszkodziła pani Rzutkiewiczowa, której niepotrzebnie powiedziałam, że jesteśmy w altanie.
 — Lecz jesteś pewna, że — on tego — rozumiesz?
 — Ależ oczywiście, że pewna!
 — Upewnij się—a zerwę zaraz z moralnością,—zawołała pani Oktawia.
 Nastrój śniadających gości był doskonały. Laminowski gryzł pieczone kurczęta, aż kości reszeczkały, panna Helena rzecz zawiadła o sztuce, zwracając się raz w raz do Pawła, który nieczem oponować jej nie myślał, parę tylko razy zatrzymał na pannie Jadwidze spojrzenie dłuższe, która, rada nie rada, musiała na śniadaniu pozostać, bo miała jeszcze wiele do powiedzenia Maryni, chciała z nią o tem to o owem pomówić, rady zasięgnąć i o pomoc poprosić. Laminowski także przymrużał oczy i uśmiechał się do Jadzi, Marynię tylko coraz większy ogarniał niepokój, bo jakkolwiek sprawa z osławionym Kastorem wziąć mogła obrót dobry, zaniepokoiło ją spojrzenie kilka pana Pawła rzuconych w stronę Jadwigi i jakaś niewyraźna a dostrzegalna jednak myśl na czole.
 Po śniadaniu pani Kamencka przysiadła się do Pawła, narzekając na niegodziwość ludzi wchodzących do komitetu moralności, Laminowski z panem Hipolitem do bezika zasiadł, Fortunata, której pani Rzutkiewiczowa dawała za bardzo małym wynagrodzeniem lekcję języka francuzkiego—recytowała jej bajkę o kuku i serze, przyjaciółki zaś wzięły się pod rękę i do ogrodu poszły, w towarzystwie, żołnierskim krokiem idącej, Heleny.
 — A—jesteśmy wreszcie same,—odezwała się Jadwiga, siadając na ławeczce w ogrodzie.
 — Chcesz, to ci powiem o komitecie moralności...
 — Niemoralności chyba,—rzekła Helena.
 — Nie, nie, nie—później o tem,—odpowiedziała Jadwiga.—Teraz mam do ciebie wielką, wielką prośbę, Maryniu moja!
 — W czym tylko będę ci mogła usłużyć— — usłużyć,—upewniła Marynia.
 — Wiesz zapewne, co nas do Szarogrodu przywiodło?
 — Wiem—wiem, niestety—wiem!
 — Zrozumiesz więc, moja droga, że nie mogę z założeniami rękami siedzieć, że muszę pracować

się zająć, by przyjść w pomoc rodzinie a samej dla siebie leniwo wlokące się dni skrócić. Nie widzieliśmy się dawno, lecz w listach pisywanych do ciebie nie ukrywałam nic, nic, co tylko było drogiego sercu mojemu, co nie wygaśnie nigdy w pamięci mojej. Kocham pana Gustawa i wiesz, że mam jego miłość gorącą. Zabija mnie tęsknota—a jeślibym miała jeszcze i życie bezczynne prowadzić, umarłabym chyba. Zresztą—pracować muszę— — bo wiesz, Sośnicy już niema, a to, co po niej zostało na nasze utrzymanie nie wystarczy. Oles jest na dorobku dopiero, może zresztą o ożenieniu się pomyśli...
 — Powinien pomyśleć, — rzekła krótko Helena...
 — Młody jeszcze,—rzekła Jadwiga.
 — Czy chcesz, żeby mu zęby wypadły i dopiero się ożenił?
 Jadwiga zaśmiała się— —
 — To już zresztą rzecz jego.
 — Nie koniecznie jego!
 — Jakto nie jego?
 — Czy zawsze my będziemy czekały na to tylko, co panom mężczyznom z nosa spadnie? biernymi być mamy nie czynnymi?... wyczekującymi nie nacierającymi? Inne czasy nadchodzą, inne czasy! Prawa równe—równe we wszystkim! Tak dobrze mogą oni, jak i my się oświadczać.

— Co takiego?—spytała Jadwiga.
 — Później o tem, Heleno— — Teraz wracam do przerwanej rozmowy. Chcesz więc zapewne zająć się lekcjami?—mówiła Marynia.
 — Tak!
 — A co ty umiesz?—zagrzmiała Helena.
 — Skończyliśmy razem z Marynią pensję w Warszawie.
 — To nie instytut kijowski! — odpowiedziała malarka.
 — Być może—ale znam dobrze języki, muzykę, nauki przyrodnicze, no i tak dalej.
 — Malujesz?
 — Rysuję trochę— —
 — Trójkąty i kwadraty... No—dla szarogrodzian i to wystarczy...
 — Pozwól nam mówić, Heleno!—odezwała się Marynia.
 — To gadajcie!
 Marya zwróciła się do Jadwigi.
 — Pomogę tobie— — Wiem nawet o paru lekcjach, nie wiem tylko, czy przyjmiesz?...
 — Dlaczego?—spytała Jadwiga.
 — Bo widzisz... Jest naprzykład jedna u aptekarza?
 — A aptekarz to nie człowiek? — rzuciła Helena.
 — Druga u szewca— —
 — Także nie krokodyl,—dodała Helena.
 — Więc?—spytała Marynia.
 — Więc dobrze, — odpowiedziała Jadwiga— — Ta druga nawet mi się więcej podoba, bo pewno są to ludzie, gdzie z lampką oświetlającą mroki wejść—zasługa jest nawet.
 — Brawo, duszo bratnia, — zawołała Helena i wyciągnęła rękę do uścisku.
 — W ten sposób nawet spełniłabym wolę pana Gustawa,—mówiła Jadwiga. — On—dawniej jeszcze—mówił mi wiele o tych nizinach i ostatnie słowa jego były... Nie! ostatnie słowa jego były inne— —
 — Jakie?—przerwała Marynia.
 — „Jak twoje warkoczki pachną!...“
 — Nie podoba mi się,—rzekła Helena,
 — A mnie się podoba— — bo w pożegnaniu chwili takiej, o mnie tylko myśleć był powinien.
 — I ty o nim myślisz?—spytała Marynia.
 — Rano, w południe i wieczór.
 — I nie zapomnisz?
 — Nigdy!...
 — A jak ci się podoba pan Paweł?
 — Co mnie on obchodzić może?...
 — Dziś—ale jutro?—spytała swym grubym głosem Helena.
 — Czy wy wierzycie w stałość przyrzeczeń?
 — Bajdy!—rzekła krótko malarka.
 Jadwiga uśmiechnęła się i prosiła Marynię, żeby nie zapomniiała o aptekarzu i szewcu.

— Jutro przyjdą do ciebie i umówią się o godzinę i wynagrodzenie. Ale postaram się o lepszą lekcję, bo, z ostatniej przynajmniej, nie wiele będzie pociechy.
 Dzień chylił się ku zachodowi—Jadwiga pożegnała Kamenckich i wróciła z powrotem do domu. Zbliżyła się do furki wychodzącej na ulicę, gdy drogę jej zaszedł Rzutkiewicz.
 — Czy pozwoli pani, żebym mój szacunek rodzicom jej złożył?
 — Proszę pana,—odpowiedziała.
 O parę kroków za furką zatrzymał ją Laminowski.
 — Można towarzyszyć? mściście?—zapytał.
 — Proszę pana,—odpowiedziała Jadwiga.
 I znikli na zakręcie ulicy.
 Marynia Kamencka dotrzymała słowa: naza-jutrz zjawił się aptekarz Fokiewicz i szewc Dudkowski, jeden pierwaj, drugi później nieco przybył i umówili się o warunki.
 Fokiewicz stanawszy przed panną Jadwigą zgrabiał się trochę, tak wielkie wrażenie na nim zrobiła piękność panny i jej dystynkcyja, lecz opamiętał się szybko, a osmielony ujmującym obejściem się panny Sośnickiej, usiadł naprzeciw niej i tak zaczął:
 — Pani dobrodzika zapewne wie, że potrzebuję nauczycielki do moich córeczek. Jest ich dwie, aniołki niebieskie, starsza dziesięć a młodsza ośmiu latek sięga. Ale rozwinięte są bardzo i do nauki chętne. Młodsza Basieczka nie pokazała jeszcze w niczem swojego talentu, ale starsza, Franciszka, ma duże zdolności i bardzo ładne wiersze już pisze. Ja się na tem znam trochę, bo sam kiedyś wyrzynałem, pani dobrodziko, kilka madrygałów do mojej nieboszczki żony i podczas poświęcenia apteki wniosłem toast na jej cześć.
 — Na cześć apteki?—przerwała Jadwiga.
 — Nie, pani dobrodziko, na cześć mojej żony, ale to było podczas poświęcenia apteki. Mam własną aptekę we własnym domu, pani dobrodziko, a jakkolwiek miasto nasze posiada dwie jeszcze apteki, nie radzę państwu nigdzie brać lekarstw tylko u mnie. Materyały świeże, wykonanie sumienne, bo prowizorów trzymam jak się należy w łapie. Ja, pani dobrodziko, nie wchodzę w konszachty z doktorami, rekomendacyi nie potrzebuję, bo moja apteka sama się rekomenduje. Przekona się, pani, jeżeli jaka choroba państwa nawiedzi. Zresztą, jeżeli umówimy się z panią, to ja, jako dla nauczycielki moich dzieciątek, rabat pewny ustąpię. Przekona się pani, jeżeli tylko potrzeba nadejdzie. A w naszym miasteczku, gdzie i klimat nie tego, i powietrze nie tego, to człek się ani spostrzeże, pani dobrodziko, jak go choróbka zwali.
 — Mam w Bogu nadzieję, że nas ustrzeże od nieszczęścia,—odpowiedziała Jadwiga.
 — Kto, pani dobrodziko, ustrzegł się od choroby? nikt! Nie szkarlatyna to koklusz, nie koklusz to zapalenie płuc, nie zapalenie płuc to zawsze gdzieś w boku kolnie a strzyknie pod łopatką. Pozostawszay zaś nauczycielką moich dzieciątek, ma pani u mnie zapewniony rabat.
 — Ile pan godzin będzie wymagał ode mnie?—spytała Jadwiga.
 — Dwie godziny codziennie.
 — Co mam córkom pana wykładać?
 — Wszystko, pani dobrodziko.
 — To jest, co będę uważała za stosowne?
 — Naturalnie, pani dobrodziko!
 — Czy i muzyka wchodzi w zakres lekcji?
 — A jakże!...
 — A córeczki pana są w muzyce zaawansowane?
 — Basieczka gra jednym palcem, a Francuzka już lewą ręką prawej pomaga. Co prawda, żadna z nich grać się nie uczyła, ale Francuzka talent ma wrodzony. Wczora, pani dobrodziko, ze słuchu wygrała: Ne chody Hryciu na wieczernyciu.
 — Doprawdy?
 — Żeby mnie cholera zadusiła, jeżeli tak nie było!
 — Po francuzku mają się uczyć?
 — Koniecznie, pani dobrodziko, koniecznie! Fortepian i francuzki—to grunt!

— Czy córki pana przychodzić będą do mnie?

— Nie, pani dobrodziko, tego bym nie chciał... Mam pokój osobny zaraz koło apteki, a od godziny dziesiątej do dwunastej, psa nawet u mnie zobaczyć nie można.

— Zatem dobrze.—przerwała Jadwiga.—Dwie godziny dziennie, za wyjątkiem świąt. Umowa miesięczna. Jakiego wynagrodzenia spodziewać się mogę od pana?

— Pięć rubli—

— Tygodniowo?

— Pani dobrodzika żartuje—

— Miesięcznie?

— Od Basieczki i Franczki—

— Ale panie, to niemożliwie mało!

— A rabat?

— Jaki rabat?

— Od lekarstw, na wypadek choróbeczki. Kto wie, co być może? Zapalenie płuc, mózgu, influenza, djarja, tyfus, szkarlatyna, śledziona i wątroba! Dwa razy się przenieść, mówią, to jedno, co raz się spalić, powiadają—a ja mówię, że lepiej dziesięć razy się przenieść niż raz do apteki mojej zajrzeć. Przekona się kiedyś pani dobrodzika, że tak jest.

— Odstępuję panu rabat ale od dziesięciu rubli nie odstąpię,—śmiała się już Jadwiga.

Fokiewicz kręcił się, przywoływał wszystkie choroby dręczące ludzkość, ale panna Jadwiga upewniła, że chorować nie myśli i żadnego ustępstwa nie zrobi. Fokiewicz chciał jeszcze choć półgodzinkę na taniec wytargować, ale o takich mowy być nie mogło, a panna Jadwiga miała ściśle, z zegarkiem w ręku przychodzić o dziesiątej a o dwunastej wychodzić. Fokiewicz zgodził się, bo bał się, żeby po namyśle nauczycielka nie cofnęła tak dogodnych dla niego warunków, pożegnał się, zawadził prawą nogą o próg, potknął się na schodach i wyszedł uradowany z dobrze przeprowadzonego interesu.

Po chwili w drzwiach stanął niepozorny człowieczek i skłonił się nisko.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki,—odpowiedziała Jadwiga.

— Jestem Onufer Dudkowski, szewc z przeproszeniem łaski pańskiej!

— Al! to pewnie od panny Kamenckiej pan do mnie przychodzi?

Onufer przestąpił z nogi na nogę i wypatrzył się—

— Siadaj pan, proszę—interes ubijemy od razu,—odezwała się wesoło Jadwiga.

Mistrz od kopyta usiadł nieśmiało na brzegu krzesła i jękać się począł.

— Chcesz pan nauczycielkę do swoich dzieci?—spytała Jadwiga.—Tak?

— Tak, proszę łaski pańskiej. Ale jakże to... nauczycielką ma być...

— Ja, panie Onufry—ja!... Potrzebuję zajęcia, pracy i co za tem idzie—grosza trochę.

— Grosza trochę jest—pięć rubli za dzieciaka zapłacę, byle go nauczyć czytać, pisać, katechizmu jak się należy i wedle rachunku trochę.

— Dziewczynka czy chłopak?

— Chłopak, proszę łaski pani, lat siedem, ale i w kark go można zajechać od potrzeby, bo przyzwyczajony do tego.

— Ja dzieci nie biję, panie Onufry; łagodnością więcej się robi niż gniewem. Pan jesteś wdowcem?

— Po trzech żonach, z przeproszeniem łaski pani—o czwartej nie pomyślałem jeszcze.

— I tego jednego macie tylko chłopaka?

— E nie, proszę łaski pani—każda nieboszeczka, jeżeli nie dwoje to troje, na pocieszenie ojcowskie zostawiła. Ale później to poumieralo, z pierwszego małżeństwa syn tylo został, ale to już chłop duży i już, jak się widzi, buty szyje i ojcu pomaga i nieraz w kark ucziwie zajędzie pierwszemu lepszemu z brzoza czeladnikowi. Z drugiego małżeństwa żadnej pociechy nie zostało, a z trzeciego troje: chłopak, o którym mówiłem i dwie dziewczyny, ale te jeszcze po izbie lażą, żeby się zaś nie darły to ogórkim im gębę zatykam i cicho.

— Zkąd znacie pannę Kamencką?

— Ja ich wszystkich znam, bo każdej od małości trzewiki szyję. Szewców jest dużo u nas, ale co tamci to nie ja. I skórę dam porządnią i obcas co się widzi. Zobaczysz pani jakie ja pani buciki na jesieni zrobię. Proszę pamiętać o mnie. Onufry Dudkowski, ulica Szeroka, Nr 10, szylt malowany pąsowo. A mój chłopiec nazywa się Józiek—pięć rubli dam i będzie urwis do pani przychodził.

— Chciałbyś go pan do szkół oddać?

— To się widzi, proszę łaski pani. Starszy terminem ojca do rzemiosła się wziął, a muszę dodać, że skończył szkół cztery, „gorodskie uczyłszcze,” jak to mówią. Józiek mógłby się trochę więcej poduczyć, bo chwala Panu Bogu mam już ręce za co zaczepić. Dawniej ja siedział w suterynie na przedmieściu, później w suterynie w mieście, a teraz na parterze mam sklep po środku miasta. Nietylko trzewiki lecz i buty dla panów robię; dla wiadomości to mówię, ażeby i ojciec pani nie szukał innego szewca.

Fokiewicz lekarstwa, Dudkowski obuwie swoje zareklamował. Jadwiga śmiała się w duchu, przyjęła bez oporu wynagrodzenie przeznaczone jej przez Dudkowskiego i z wesołą wiadomością do rodziców pobiegła.

— Mam już, tatusiu, trzy godziny dziennie zajęcia—

— A co za to?

— Rubli srebrem piętnaście—

— Sośnicki namarszczył się—

— Żle?—spytała—

— Ośmdziesiąt szesć godzin pracy miesięcznej i tylko rubli srebrem piętnaście?

— Prawda! — szepnęła po chwili Jadwiga, — nie zastanowiłam się nad tem. Ale — zawołała wesoło, — mam jeszcze z ośm godzin do rozporządzenia. Na początek i to dobre, byleśmy tylko wielkiego niedostatku nie zaznali, byleby... lat trzy przeszło.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Pracę tę w streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Sali Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności).

(Dalszy ciąg).

W Polsce bardziej, niż w innych krajach, zauważyć można ten fakt, że głębsze odczucie przyrody nadeszło dopiero razem z romantyzmem. Duch narodów, pełny trzeźwych i praktycznych żywiołów myśli i uczucia, oddawał się najpilniej sprawom życia publicznego, nie pograżając się bynajmniej w zadumie metafizycznej, lub w zgłębianiu tajników natury. Gdy się na chwilę oderwał od pług, od spraw ogólnych, od miecza, gdy życie wewnętrzne grać w nim zaczynało, wznosił się wówczas w wyżyny niebios na skrzydłach prostej i szczerej wiary; zwróciwszy się zaś napowrót ku ziemi, widział na niej szerokie łany zbóż, zapowiedź dobrobytu, ciszę i dostatek życia wiejskiego. Na wyżynach myśli i uczucia oglądał wszechmoc Boga, ale Bóg ten nie był bóstwem filozofów, panteistów, a był to ten sam Stwórca, którego Mojżesz ujrzał na górze Synai w krzaku gorejącym, przed którym poezja ludu Izraelskiego całej przyrodzie koryć się nakazała.

Żyjąc wśród natury, starożytny Sarmata czuł dla niej sympatyę naiwną ludu, bez głębszego odczucia lirycznego, a tembardziej filozoficzno-metafizycznego. Zresztą naśladownictwo wzorów klasycznych napełniało przyrodę rodzinną postaciami bogów i bogiń starożytności. Jednostka z życiem duchowym swoim nie wyrzuciła się jeszcze z morza powszechności. Wprawdzie śpiewak z Czarnolasu wspomina w swej pieśni, że rad patrzy „na wysokie góry i rodzinne lasy,” wprawdzie opiewa „wieś spokojną, wieś wesołą,” w pieśni tej jednak nie czuć żywszego drgnienia serca, a króluje w niej tylko zadowolenie z cisy życia wiejskiego, z jego wczasu i pożytków. Żywsze tętno w poezji Kochanowskiego obudza dopiero myśl religijna, myśl, że Bóg jest Panem wszystkiego świata, że „niebo zbudował i złotymi gwiazdami wszędzie uhaftował,” że go pełno wszędzie: „i w otchłaniach i w morzu, na ziemi, na niebie.” Bóg ten nie jest duchem wszechświata w pojęciu filozoficzno-metafizycznym, lecz Bogiem osobistym, biblijnym. Najczęściej jednak poeta ten patrzy na przyrodę oczyma Horacego i Wergilijusza, a w jego sielance „faunowie skaczą leśni.”

Sebastian Fabian Klonowicz w swych „Roxolaniach” zapełnia lasy „sylwanami, faunami i satyrkami,” żywo też obchodzą go niedźwiedzie, z poetycznych zaś głosów przyrody zaledwie jedno „echo” dziecięca muza jego odtworzyć potrafi. W swoim „Flisie” daje nam ten poeta opis rzek naszych, bardziej dydaktyczny, niż malowniczy.

Sielankopisarz Szymon Szymonowicz zdobył się na jeden zaledwie, jedyny obraz poetyczny przyrody w piosence: „Słoneczko, śliczne oko oko dnia jasnego.” Zresztą tak on, jak inni sielankopisarze, odczuwają silniej życie ludzkie, niż przyrodę samą.

Poezja wieku XVII-go była jeszcze silniej zbarwioną życiem politycznym. Suche scholastyczne pojęcie duszy ludzkiej i natury zamknęło na długo ożywcze źródło uczuć i fantazji. W utworach piśmiennictwa ówczesnego zamażał duch narodu, a powstało naśladownictwo, to stało się w literaturze. W utworach Greków i Rzymian, to pisarzy wczesnych z Epoki Odrodzenia, a w końcu wpływ francuzczyzny zapanował.

Maciej Kazimierz Sarbiewski nuci pieśń na cześć księżycy, lecz nie tego księżycy, który rzucił na czoła poetów blade romantyczne światło i pograżał ich dusze w zadumie głębokiej i tkliwej, a na cześć księżycy—Dyany, każe pisać wesoło wśród nocy cichej, wołając, wbrew wszelkiemu odczuciu poetycznemu, że w księżycu „myśl tęskna nie gości.”

Szymon Zimorowicz zachwyca się wprawdzie jędrą ogródkiem lubej dziewczyny, ale powiada, że „byłby głupi, gdyby się „więcej kochał w zielonej niżli w przyjacielu,” któremu „serce wylało na innych wielu,” to jest w swej lubej dziewczynie.

Józef-Bartłomiej Zimorowicz w sielankach swych opiewa muzy nad źródłem Kastalijskim i w cieniach skały Lampsacejskiej, opiewa, jak „Tytan raniej z łoża wstaje” i „rozpuszcza się w promieniste,” jak „chmury potoczne łagodnie,” Fawoni za czarny Euksyn wolnem skrzydłem „goni,” a wcale nie romantyczna wyobraźnia tej go poety widzi, jak „góry, za ręce ująwszy się w spolem, skaczą,” jak „padoly kleszczą i doliny lasy śpiewają i gęste szeliny.”

Jan Gawiński nuci pieśń o słowiku, nazywając go „ozdobą wiosny,” „posłem wdzięcznej pory,” „Pandyonowej piękną siostrą córy.” „Zaś łobnej dumy treickim muzykiem.” Śpiewa także również ten poeta „Sielankę o żywocie dworskim a wiejskim,” chwalać wieś spokojną, jaką „lubych wczasów skarbnicę.” Zdobył się jednak Gawiński na precudnie serdeczną piosenkę, albowiem jedną, jedyną tylko. Któż nie zna jego pieśni oracza do skowronka?!

„Już śpiewasz, skowroneczku, już też i ja orze... „Obudwu nas przy rannej pracy widzi zorze. „Bóg pomóż, skowroneczku, dodawaj nadzieję. „I dla ciebie ja razem i dla siebie sieje.”

Wacław Potocki śpiewa nam w tym samym, przytoczeni wyżej poeci, tonie, dumę domarską o „miłej wiosce i wdzięcznych sadach,” spokoju i słodyczy życia wiejskiego, gdy człowiek na małym poprzestać umie. Ten sam poeta opiewa wiosnę w sposób dziwnie suchy i dydaktyczny.

Żywiej nieco opisuje naturę Wespazyan Kozłowski:

„Gór Świętokrzyskich i mnie miłe knieje,
Na których wiecznie liść się zielenieje,
A między nimi wyższa pięknym brakiem
Zbawiennym Pańskim uczczona jest znakiem.“

Dalej mówi poeta naiwnie, że „z wyniosłej góry widok jest miluchny.“

U wszystkich tych pisarzy czujemy uмиłowanie wsi rodzinnej, uмиłowanie szczere, lecz oparte nie na głębszym zrozumieniu i odczuciu przyrody, lecz na instynkcie i przyzwyczajeniu.

Andrzej Morsztyn, poeta kunsztowniejszy, idąc głębiej do duszy własnej zajrzeć, żywiej też nieco i głębiej od swoich poprzedników czuwa przyrodę. Służy mu ona częściej za materiał obrazu do przedstawienia uczuć miłosnych, niż za źródło bezpośredniego natchnienia. Najdużej już jednak u tego poety tu i ówdzie pojawiają się alegorye i porównania. Mówi on np.:

„Próżno się tedy cieniem zmierzchu chłodzę,
Gdy w sobie noszę ogień i z nim chodzę.“

W innym znów miejscu opiewa:

„Wdzięczniejsza wiosna w nietykany kwiecie,
Ludzi doszły owoc jesieni i lecie,
Kto obnaży z pierwszych kwiatków ziele,
Z późny owoc może nie dbać śmieie.“

Kochanka w oczach poety „kwitnie jak wiosna wieczna,” i ma „jak w kurelnei”—„kwiat mążowy, majową rzeźwość, marcowe odmiany.“ Pierwsze żywsze odczucie natury dała poezji wspaniała kobieta, i to jeszcze na schyłku epoki barokizmu, gdy nad życiem duchowym nam zalegały mroki i w oddali tylko błyskały pierwsze światelka, zwiastujące wiek oświecenia. Wiersze zamarła pierwsza poezji Elżbieta Drużbacka wiała w pierwszej połowie wieku XVIII życie i siłę, przyłożyła się, jak powiada Krasicki, do odnowienia gustu w poezji. Przyroda wiejska przejawia się w jej utworach nie wielkim bogactwem obrazów, lecz szczerą prostotą i głębszym odczuciem serca. Nadto tu i ówdzie odzywa się już w pieśni poetki dźwięk tęsknoty i marzenia, jakby zwiastuny dalekich jeszcze narażeń romantyzmu. Już w poezji Drużbackiej widać wprawor zaszumi, a strumyk zamruczy.“ Tęsknoty to jednak nie głęboka, marzenie ulotne, częściej radosne, niż smutne, a w odtworzeniu nakielny przeważają obrazy jasne, słoneczne. Wiosna jest pieszczotką najukochańszą serca i wyobraźni poetki; ją to nazywa tak pięknie i obrazliwie „złotym wiekiem w postaci dziecięcej,” odnawia w łono jej duszę ludzką, życiem drgającą duszę, która „się śmieje w płochoci niewinnej,” która „dla swojej zabawki, dziś urodzone słońce sypa śniegiem trawki,” która jednak, mimo swej „płochoci,” „spragnioną matkę (ziemię) swej” i lzy posili.“ A wraz z tą wiosną ożywia się przyrodę całą:

„Každy kwiat z pączka ledwo nie wyskoczy
Do swej bogini, i jak słońce błysnie,
Ten się do ręki, ów do piersi ciśnie.“

Z niezrównaną też prostotą i szczerością odnawia nam dopiero poezja romantyczna. W tej wiosnie roku cieszy Drużbacką obfitość zbiorów—jesień przedstawia się jej, nie w postaci tęsknej narzycielki wśród gasnących promieni zachodzącego słońca, lecz w postaci dobrej, skrzętnej i zasobnej gospodyni.

„Každy dzień dobrze przeżyty, wymaga nowych wysileń. Kawiarnie ekscentryczne, zebrania, bale, reduty, prassa, literatura, sztuki piękne, teatry, wszystko musi nosić jeśli nie cechę świeżo z igły zdętej oryginalności, to przynajmniej ekscentryczności. Po każdej nowej zmianie, następują jak w kalejdoskopie, nowe inowacje i zmiany.“

Dramatyczna szkoła Dumasa i Augier'a—oparta na filozofii Cousin'a załedwie, że pozostawiła po sobie słabe ślady wspomnienia. Po bankructwie wiedzy, ogłoszonym przez Brunetiera dramatyczna fikcja dostała pomieszenia. Realistyczna szkoła zaprezentowana przez Becque'a. (Théâtre Libre) odzwierciadlająca poniekąd filozofię Taine'a, oddała ducha a na jej grobie już porasta trawa.

Ten sam los spotkał i Szkołę Psychologiczną. Nawet Zola po wydaniu „Rzymu,” wziął się do Paryża, nad którym obecnie pracuje, ulegając wpływowi „Nowego ducha” tak się zmienił, że już jest nie do poznania. Hipnotyzm, suggestya, telepathia, cyklizm i lokomobile są to obecne zabawki „en vogue” w Paryżu. Zaś „dans le Monde où l'on s'ennuie” z nudów na tym świecie, przenoszą się w świat „Duchów” (Ibsena) przyciąga ich „Potęga Ciemności” (Tolstoja) i zagładają nawet przez ciekawość do Bjürnsena.

W Londynie zaś w tym bogatym wyspiarskim grodzie pięciu milionów dusz—wprawdzie nie wszystkich bogatych—od czasów Kromwela, który się tytułował „Monsieur le Protecteur” najbardziej protegują się tutaj i konserwują stare formy, zwyczajaje, obyczaje, tradycje, stary kościół wraz ze Starą Królową. Nasza Wielka Biała Matka „The Great White Mother” panująca nad wszystkimi „narodami, rasami i językami...” (tytuł oficjalny) po całej ziemi rozsiadła się w posiadłości domowych i kolonialnych, była już mężem stanu wtedy, kiedy cesarz niemiecki był jeszcze w kolebce a przewyższała nawet geniusz Aleksandra Wielkiego i Napoleona I-go w tem już, że ów mąż stanu-kobieta, nie tylko, że umie panować nad własnym językiem lecz i nad językami podwładnych jej ludów, które się liczą na setki milionów.

Ten gordyjski węzeł filologia palozontologiczna ani anatomia języków Max. Müllera, nie są zdolne rozwiązać. „Słowa, powiada Maeterling, jeżeli mają jakiegokolwiek znaczenie, zawdzięczają je miłczeniu w którym się kąpią.” Imperatorwa Indyi panuje cichością, milczeniem, siłą wielkiej duszy, wielkich cnót kobiecych i siłą wiary, która „góry przenosi.” Jeżeli przypadkowo na przenoszonych górach, zajdzie jakies nieporozumienie, to na to posiadamy w Arsenalu w Woolwich parowy młot ważący 500 tonów angielskich, największy na całym świecie i który kosztował pięć kroć stotyście rubli—gdy spada z wysokości 15 stóp—huk i stuk jego słyszy się na trzy mile na około. Młot ten dopomaga do fabrykacji dział, a działa do rostrzygnięcia wszelkich nieporozumień gór lub dolin—niezwracając uwagi na to, jakim mówi językiem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

LIST Z ANGLII.

Londyn, 22 Września.

Powróciłem z Paryża do Londynu właśnie w chwili kiedy prezydent rzeczypospolitej windował Chulalongkorna króla siamskiego na wieżę Eiffel, by mu dowieść, że paryżanie w pewnym oddaleniu mniejsi są nawet od mrówek; król sprawdzając ten mikroskopijny efekt, miał podobno wybuchnąć śmiechem „à gorge déployée.” Pod wpływem świeżych jeszcze wspomnień, pozwołam mi czytelnicy, że się podzielę wrażeniem, które kontrast tych dwóch miast sprawił na piszącym. Paryż zaiste jest miastem wesołym. Dostyc byłoby spojrzeć na rozpromienione oblicze Chulalongkorna będącego wyniesionym na 300 metrów po nad Paryżem, aby być o tem zupełnie przekonanym; zwłaszcza, że J. K. Mość z Bangkoku tej wschodniej Wene-cyi—posiada i stolicę i kraj czarująco-piękny. Zresztą każdy Warszawianin zna Paryż, pod tym względem tak dobrze, jak własną kieszeń a szczególnie ci, co ją po dłuższym jak ja, pobycie—wypróbnili. Co jednak nie przeszkadza zauważyć, że chociaż bohaterowie Mürger'a obecnie przeniesieni do domu Molier'a (komedyi Francuzkiej) żyją wygodnie i tanim kosztem, życie w Paryżu, kiedy się chce unikać „vachestecku enragé” jest o wiele droższem niż w Londynie. To pochodzi ztąd, jak mi ktoś szepce na ucho, że francuzi jak i cudzoziemcy bawiący w Paryżu lub we Francyi, muszą jeżeli już nie pracować „pour le Roi de Prusse” to jeszcze po dziś dzień—zapłacony mu haracz spłacać w formie „dazio di consumo.” To jednak nie psuje bynajmniej apetytu i dobrego jak zawsze humoru francuzów.

Paryż w ciągłym poszukiwaniu nowych rozrywek, zabaw i przyjemności nie ma czasu zastanawiać się nad tak błahym przedmiotem. To też się bawia bez przerwy „nulla dies sine linea..“

Każdy dzień dobrze przeżyty, wymaga nowych wysileń. Kawiarnie ekscentryczne, zebrania, bale, reduty, prassa, literatura, sztuki piękne, teatry, wszystko musi nosić jeśli nie cechę świeżo z igły zdętej oryginalności, to przynajmniej ekscentryczności. Po każdej nowej zmianie, następują jak w kalejdoskopie, nowe inowacje i zmiany.“

Dramatyczna szkoła Dumasa i Augier'a—oparta na filozofii Cousin'a załedwie, że pozostawiła po sobie słabe ślady wspomnienia. Po bankructwie wiedzy, ogłoszonym przez Brunetiera dramatyczna fikcja dostała pomieszenia. Realistyczna szkoła zaprezentowana przez Becque'a. (Théâtre Libre) odzwierciadlająca poniekąd filozofię Taine'a, oddała ducha a na jej grobie już porasta trawa.

Ten sam los spotkał i Szkołę Psychologiczną. Nawet Zola po wydaniu „Rzymu,” wziął się do Paryża, nad którym obecnie pracuje, ulegając wpływowi „Nowego ducha” tak się zmienił, że już jest nie do poznania.

Hipnotyzm, suggestya, telepathia, cyklizm i lokomobile są to obecne zabawki „en vogue” w Paryżu. Zaś „dans le Monde où l'on s'ennuie” z nudów na tym świecie, przenoszą się w świat „Duchów” (Ibsena) przyciąga ich „Potęga Ciemności” (Tolstoja) i zagładają nawet przez ciekawość do Bjürnsena.

W Londynie zaś w tym bogatym wyspiarskim grodzie pięciu milionów dusz—wprawdzie nie wszystkich bogatych—od czasów Kromwela, który się tytułował „Monsieur le Protecteur” najbardziej protegują się tutaj i konserwują stare formy, zwyczajaje, obyczaje, tradycje, stary kościół wraz ze Starą Królową. Nasza Wielka Biała Matka „The Great White Mother” panująca nad wszystkimi „narodami, rasami i językami...” (tytuł oficjalny) po całej ziemi rozsiadła się w posiadłości domowych i kolonialnych, była już mężem stanu wtedy, kiedy cesarz niemiecki był jeszcze w kolebce a przewyższała nawet geniusz Aleksandra Wielkiego i Napoleona I-go w tem już, że ów mąż stanu-kobieta, nie tylko, że umie panować nad własnym językiem lecz i nad językami podwładnych jej ludów, które się liczą na setki milionów.

Ten gordyjski węzeł filologia palozontologiczna ani anatomia języków Max. Müllera, nie są zdolne rozwiązać. „Słowa, powiada Maeterling, jeżeli mają jakiegokolwiek znaczenie, zawdzięczają je miłczeniu w którym się kąpią.” Imperatorwa Indyi panuje cichością, milczeniem, siłą wielkiej duszy, wielkich cnót kobiecych i siłą wiary, która „góry przenosi.” Jeżeli przypadkowo na przenoszonych górach, zajdzie jakies nieporozumienie, to na to posiadamy w Arsenalu w Woolwich parowy młot ważący 500 tonów angielskich, największy na całym świecie i który kosztował pięć kroć stotyście rubli—gdy spada z wysokości 15 stóp—huk i stuk jego słyszy się na trzy mile na około. Młot ten dopomaga do fabrykacji dział, a działa do rostrzygnięcia wszelkich nieporozumień gór lub dolin—niezwracając uwagi na to, jakim mówi językiem.

Jeżeli jednak królowa nasza jest małomówna, to, podwładne jej *missy* i *mistressy* bardzo dużo mówią, czytają i piszą.

Cała belletrystyka prawie jest w ich ręku. Przerazająca liczba romansów nowelli: realistyczne, sentymentalne, towarzysko—dydaktyczne, historyczne, wojskowe i ze szkół idyllicznych, prawie wszystkie produkcje pięciopięknej. Jedne panie, z nudów piszą, a inne zaś z jeszcze większych nudów, czytają, a panowie w tym czasie w City kopią złoto.

A że tu deszcze są bardzo częste, więc i grzyby, chcę mówić nowelle, zjawiają się jak grzyby, grzybieją szybko i znikają, zostawiając miejsce innym również znikomym. Wprawdzie mamy i takich romansopisarzy jak naprzykład Jana Austens, Charlotte Brontës, Fieldingów naturalnie i Thockearys'ów, których dzieła są nieśmiertelne na równi dzieł historyków jak Gibbon lub Green; filozofii i ścisłych nauk jak Tyndall i Huxley; poetów, jak Tennyson i Browning i z żyjących sławnego profesora estetyki Ruskin'a i filozofa Herberta Spencera.

Z bieżącej chwili.

W każdym razie handel książek jest wielki, bardzo korzystny dla tych, co piszą i opłaca się odbyć nawet w tym celu podróż do Afryki, tak jak to uczyniła Miss Mary Kingsley, i przepędzić czas jakiś w pośród ludożerców, by poznać ich sposób życia i kraj, gdzie klimat zabójczy, fatalne nagłe epidemie, gorączki, wyziewy zgnilizny, skorpiony, węże, krokodyle i insekta nawet bardziej krwiożercze, w porównaniu ich wielkości od samych dzikich zwierząt, a ludzie nie lepsi od zwierząt.

I tak na przykład, kiedy mąż umiera to żonę jego żywcem rzucają wraz z mężem do grobu. Szefer Kalabaru wytłumaczył Pannie Kingsley, że nie robią tego bynajmniej przez troskliwy syntementalizm by nie rozłączać biednych istot od ukochanego ich męża, lecz, ażeby o ile możliwości powstrzymać zwyczaj trucia mężów przez żony. Angielscy mężowie i żony, mogą czytelniczki upewnić są o wiele lepsi, chociaż i tu nie ma zbyt wielkiego szczęścia w matrymonialnym pożyciu. Pochodzi to ztąd że kobiety tutaj są bardziej i wszechstronniej wykształcone, jak ogół mężczyzn należących do tych samych sfer. Całe wychowanie młodzieży naszej skierowane jest przeważnie, jeżeli nie wyłącznie do rozwinięcia siły fizycznej, wyćwiczenia ciała i nauzenia się—czytać pisać i rachować. To wszystko właśnie, co do szczęścia na tym świecie i przyszłym potrzeba. Reszty douczy się w handlu i w Biblii. W szkołach mniejsza o lekcye, byle by młodzian był „good at games.“ A na to wystarcza, dobry stół, obszerne grunta do zabaw, kriket, foot ball, tennis i gimnastyka. Nauka z czasem sama wlezie w głowę. *Atletyzm i merkantylizm* to Alfa i Omega wychowania publicznego i prywatnego naszej młodzieży.

Wyższe uniwersyteckie wykształcenia w Okford lub Cambridge monopolizują Lordowie i pienieżna arystokracja.

Ztąd rozwój umysłowy w ogóle zaniedbany. John Bull wychowany na atletę—wypracowawszy się w City, kiedy wraca do swego „sweet home'u“ słodkiego domowego ogniska jest zwykle gburowaty i małowówny tak, że jego *mistris* czytająca cały dzień romanse znajduje męża swego nie idealnym i nie *up-to-date*.

Umarła niedawno temu z bardziej utalentowanych nowelistek angielskich Pani Oliphant, autorka biografii Edwarda Irvinga. W jednym ze swych dzieł „Wizard's Son“ powiada: „Wszystkie kobiety nie rodzą się z zaparciem samych siebie, kiedy są młode w ich żyłach przebiega krew tyleż gorąca jak i krew mężczyzn. Ona także potrzebuje życia, ruchu, słońca i szczęścia. Zwyczajne światło dzienne, nieco świeżego powietrza, nowa sukienka, chociaż i z wielką trudnością nabyte, jeden taniec, nieco admiracyi—wystarczy im, kiedy są bardzo młode—lecz gdy rozdział następny nadchodzi i młode dziewczę uczy się kontemplacji—z wyjątkiem rzadkich szans matrymonialnych, nie ma dla niej pod słońcem żadnej innej perspektywy jak bardzo ograniczona i mizerna egzystencja, życie biednej, bardzo biednej, samotnej kobiety...“

E. P.

— W rozpoczętym roku szkolnym wykład języka polskiego w gimnazyjach warszawskich włączony został do godzin planowych t. j., że wykład ten odbywać się będzie w godzinach szkolnych od 9-ej do 3-ej. W latach ubiegłych język polski wykładany był albo przed godziną 9-ą zrana albo po 3-ej popołudniu, wobec czego uczniowie nie uczęszczali na te wykłady, bo godz. 8-a zrana, zwłaszcza w porze zimowej była zbyt wczesna, a po godz. 3-ej nie słuchali wykładów języka polskiego również z powodu zbyt wielkiego znużenia po sześciogodzinnem siedzeniu w szkole.

— W pismach petersburskich czytamy, co następuje: „Uczniowie wyznań *obcych*, a więc katolicy, ewangelicy, żydzi i t. d. w dni galowe mają uczęszczać do świątyn swoich wyznań, o czem zawiadomieni już zostali okólnikiem kuratorowie okręgów naukowych.

— Ministerjum oświaty upoważnione zostało do udzielania pozwoleń na tworzenie towarzystw naukowych, zwolywanie zjazdów uczonych, zatwierdzanie ustaw towarzystw odczytów publicznych ludowych i czytelni ludowych, które to przedmioty wymagały dotąd zatwierdzenia komitetu ministrów.

— W ministerjum oświaty rozpocznie wkrótce prace swoje komisja wyznaczona dla opracowania projektu przymusowej nauki szkolnej dla dzieci w wieku lat 7 do 14.

— W Petersburgu otwarty być ma wkrótce z inicjatywy kobiety—lekarza, pani M. Wołkowiez, klub atletek. Dotąd wpisało się do klubu przeszło 100 kobiet.

— W tych dniach ukończony zostanie nowy obraz panoramiczny Jana Styki przedstawiający „Wzięcie Sybina“ (Hermanstadt). Panorama ta otwartą zostanie we Lwowie, zkąd po 4 tygodniach przewieziona będzie do Budapesztu. Wspólnie z inicjatorem panoramy, pracowali następujący artyści-polacy: Tadeusz Popiel i Zygmunt Rozwadowski, węgry: Margitay, Sabo i Vago oraz monachijczyk Schönchen.

— Do nowo-otwartej przy warszawskim ogrodzie pomologicznym szkoły ogrodniczej zapisało się dotąd 60 kandydatów. W obec tego jednak, że przyjętych być może tylko 30, pierwszeństwo mieć będą praktykanci ogrodu pomologicznego, oraz posiadający wyższe kwalifikacje szkolne. Rozpoczęcie wykładów nastąpi w dn. 13 października. W r. b. otwarty będzie tylko kurs pierwszy.

— W tych dniach puszczone być mają w obieg storublowe banknoty nowego wzoru.

— Helena Modrzejewska po dłuższej chorobie powróciła już zupełnie do zdrowia. Znakomita artystka zamierza udać się wkrótce do Australii, gdzie po raz pierwszy występować będzie w Sydney i Melbourne.

— Znakomity wynalazca Edison zmuszony był zaprzestać badań swoich nad promieniami Roentgena z powodu nadwątłego pracą zdrowia. Pośród doświadczeń laboratoryjnych utracił włosy, zaniewidział na jedno oko oraz nabił się choroby nerwowej, nie pozwalającej mu zginać dłoni. Przerwał więc pracę, ażeby poddać się systematycznej kuracyi.

MYŚLI.

Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu
J. Słowacki.

Od wstydu aż do grobu widzę mały przedział
Tenże.

Żadnych kłosów ludziom nie wysieją śmiechy
Tenże.

Cierń co mi zrani rękę, nikogo nie zrani!
Tenże.

Zemsta się jak skorpion własnym jadem
chłoszcze.
Tenże.

Nieznalezienie gorsza niżli zguba.
Tenże.

Rankiem głos sumienia nudzi,
Nad wieczorami dręczy i przeraża,
A nocą ze snu okropnego budzi.
Tenże.

Samotność—mędrców mistrzyni.
Ad. Mickiewicz.

Kto poświęca siebie dla drugich, znajdzie mądrość i bogactwo i koronę na ziemi, w niebie i na każdym miejscu. A kto poświęca drugi—dla siebie, aby miał mądrość i urząd, i bogactwo znajdzie głupstwo i nędzę, i potępienie na ziemi i w piekle i na każdym miejscu.

Tenże.

Polityka nie może obejść się bez jakiejś postawy moralnej.

Tenże.

Same tylko fakta mają moc rozwiązywania wielkich zadań.

Tenże.

Prawda nie chodzi po ziemi w postaci systemu, ale w postaci światła.

Tenże.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołączony jest: arkuś 5 powieści, p. t. *Dla zabicia czasu* Fr. Spielhagena. Przekład Z. S.

Treść: Co mają czytać—rodzice? przez Szczęsną.—Cieniom Kornela Ujejskiego, przez Wiktora Dzierżanowskiego. — Twórczość dramatyczna Juliusza Słowackiego, przez P. Chmielowskiego (dokończenie).—W noc miesięczną, przez Selima.—Kazimierz Gliński. Wróć! Powieść. (dalszy ciąg).—Przyroda w poezji, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg).—List z Anglii, przez E. P.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: *Dla zabicia czasu*, powieść, Fr. Spielhagena. Przekład Z. S. Arkuś 5.—Przegląd mód. 23 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Kraków.—Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 24 Сентября 1897 г.